

JESTEŚ
MOIM JUTREM

HANNAH BONAM-YOUNG

JESTEŚ MOIM JUTREM

Tłumaczyła
Monika Wiśniewska



GORZKA
CZEKOLADA

Tytuł oryginału OUT ON A LIMB
Copyright © 2023 by Hannah Bonam-Young
All rights reserved
Copyright © 2025 for this edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt okładki Andrzej Komendziński
Skład i łamanie Radosław Stępiak | **SRS** studio.com

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 987-83-8265-918-4
2025.1

Gorzka Czekolada jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność,
promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury.
Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc nie kopiujesz,
nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie.
Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz
wydawcom nadal publikować książki.

*Dla Bena za to, że zawsze jest moją prawą ręką.
Przykro mi, że nigdy nie wygrasz
w papier, kamień, nożyce.
Kocham Cię.*

KILKA SŁÓW OD AUTORKI

Drodzy Czytelnicy,

zaledwie pięć dni po urodzeniu pierwszego dziecka wsta-
wiłam na Instagram post o następującej treści:

*Bycie dobrą mamą to jedyna rzecz, z którą sobie nie po-
radzę, mając jedną rękę – zawsze tak myślałam. Może
i nie było to racjonalne, ale za każdym razem, kiedy sły-
szałam frazesy o tym, jak to mamom potrzebna jest „do-
datkowa para rąk”, czułam ściskanie w żołądku. Gdy
byłam nastolatką, często się zdarzało, że dorośli ze stra-
chu nie pozwalali mi brać swoich dzieci na ręce, i dla-
tego w pewnej chwili zrodził się we mnie dokładnie ten
lęk. Dopiero w tym tygodniu mogłam się z nim zmie-
rzyć. I chciałabym teraz oświadczyć, że dziesięć palców
jest przereklamowanych, ponieważ jak na razie wszystko
idzie jak z płatka.*

Choć matką byłam wtedy od mniej niż tygodnia, miałam wrażenie, że zdążyłam już doświadczyć wszystkich możliwych emocji. Fizycznie i mentalnie dochodziłam do siebie po traumatycznym porodzie i trudnej ciąży. Bolały mnie brodawki, bolało mnie ciało i żywiłam przekonanie, że moja pochwa już nigdy nie będzie taka jak kiedyś. A mimo to... odczuwałam absurdalne wprost szczęście.

Nie tylko z powodu przywiezionego ze szpitala maleństwa (które jest cudowne), ale także dlatego, że niepotrzebnie tak się bałam. Dlatego, że całymi latami wprowadzano mnie w błąd. Doskonale sobie radziłam z byciem dobrą matką.

Podobnie jak Win przyszłam na świat z niedorozwojem kończyny górnej. Mam nie do końca wykształconą prawą dłoń, identycznie jak przedstawiona w książce Win. I choć przez całe życie się starałam, aby w niczym mnie to nie powstrzymywało, mierzyłam się z wieloma wyzwaniem. Od zawsze na osobności próbowałam robić to, czego oczekiwano ode mnie publicznie. Drobiazgi takie, jak zapięcie nowych dzinsów albo robienie notatek podczas lekcji. Wiele godzin spędziłam na rozmyślaniu o codziennych przeszkodach, wymyślając niewielkie modyfikacje i szczegółowo planując każdy dzień w celu uniknięcia niezręczności albo porażki. A kiedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży, nagle poczułam się absolutnie nieprzygotowana. Wiedziłam, że nic nie mogło mnie przygotować na to, co nastąpi, i byłam przerażona...

Pragnęłam napisać książkę dla tych, którzy pozwalają, aby ich działania spowalniał strach przed porażką. Nie tylko dla osób, które decydują się na posiadanie dzieci, ale dla wszystkich rzuconych na głęboką wodę i zabranych tak daleko od swojej strefy komfortu, że nie rozpoznają już swojego

dawnego, pełnego obaw ja. Chciałam napisać coś o dwojgu ludzi, którzy darzą się tak wielkim uczuciem, że są w stanie zmienić negatywny schemat myślowy i w pełni zaakceptować dzielące ich różnice. Gdzie miłość jest przedstawiona jako uczucie pełne mocy, życzliwości, troski o drugą osobę, cierpliwości i delikatności.

W tej książce ciąża wysyła Win w podróż ku macierzyństwu. Ponieważ jest ona kompletnie niespodziewana, zdecydowałam się zamieścić rozmowy między Win, jej zespołem medycznym i osobami zapewniającymi jej wsparcie na temat możliwości aborcji. Warto wspomnieć, że akcja tej powieści toczy się w Kanadzie, gdzie prawo do przerywania ciąży nie jest obecnie zagrożone, podobnie jak w tylu innych krajach, i dlatego też Win ma większy wybór. Ostatecznie decyduje się urodzić dziecko, jednak wplecenie do fabuły takich dyskusji uznałam za konieczne, skoro fundamentalne prawo do bezpiecznej i legalnej aborcji jest właściwie nieustannie podważane. Wybór Win nie jest lepszy, nikt też nie zmusza jej do podjęcia takiej, a nie innej decyzji. Wybór Win to po prostu jej wybór.

Na koniec pragnę dodać, że wiem, iż ciąża w romansach to gorący temat. Nie jest on dla wszystkich i jest to najzupełniej w porządku. Ale ta książka to coś znacznie więcej niż wpadka podczas przygody na jedną noc. To uczenie się pozwalania, aby druga osoba zobaczyła ciebie w trudnych sytuacjach, gdy potrzebujesz wsparcia. To uczenie się bycia kochanym takim, jakim się jest, oraz przyjmowania pomocy. To stawianie czoła oczekiwaniom i radzenie sobie z przeszkodami. To radość osób z niepełnosprawnościami. Której, jeśli chcecie znać moje zdanie, wszyscy musimy więcej widzieć.

Mam nadzieję, że pokochacie Bo i Win równie mocno jak ja.

Z miłością

HANNAH BONAM-YOUNG

OSTRZEŻENIA:

- obrazowe sceny seksu,
- ciąża i jej objawy,
- krótka rozmowa na temat aborcji
(stanowisko *pro-choice*),
- ableizm w odniesieniu do niedorozwoju kończyn,
- były partner stosujący agresję werbalną
(nie pojawia się w książce),
- śmierć rodzica (w przeszłości),
- depresja i samobójstwo (w przeszłości),
- nowotwór (w przeszłości, nienawracający),
- amputacja (w przeszłości).

ROZDZIAŁ 1

Całkiem możliwe, że tematem tej piosenki jest orgia, wiedziałas o tym? – pytam stojącą obok wazy z ponczem czarownicę, wskazując na głośnik.

– Co? – woła, odsuwając od ucha srebrną perukę czarnymi jak smoła szponami.

– Piosenka, *Monster Mash*. – Ponownie wskazuję na głośnik.

– Ale co? – woła jeszcze głośniej.

– Orgia! – odkrzykuję.

W tym samym momencie muzyka raptownie cichnie, a moja przyjaciółka i jednocześnie gospodyni tej imprezy, Sarah, wskakuje na krzesło, aby wygłosić doroczną mowę.

– Nie, dzięki...

Czarownica sztyletuje mnie wzrokiem, po czym powoli się odwraca i odchodzi w stronę sklepionego przejścia udekorowanego przeróżną zakrwawioną bronią.

– Chciałabyś – burczę i nalewam sobie do kubka bliżej niezidentyfikowany płyn w kolorze neonowej zieleni, unikając na szczęście unoszących się na powierzchni kandyzowanych gałek ocznych.

Sarah, moja najlepsza przyjaciółka, raczy gości przemową w stylu „tak bardzo wam dziękuję za udział w mojej imprezie halloweenowej, nie macie pojęcia, ile to dla mnie znaczy”, ja natomiast się zastanawiam, czy ktoś prowadzi sekretny rejestr tego, ile już zjadłam hot-dogo-mumii.

Gdzie tam. Dlatego częstuję się kolejną.

– Ahoj, kapitancko Winnifred!

Szlag, zostałam namierzona. Wrzucam mumię do drinka i zakrywam dłonią zawartość kubka.

– Wszystko w porządku? – pyta Caleb, mąż Sarah, mierząc mój kubek podejrzanym spojrzeniem.

– Nigdy nie było lepiej – zapewniam radośnie. – Kolejny udany rok – dodaję, podziwiając udekorowany z mistrzowską precyzją dom.

Caleb robi to samo, a na jego twarzy pojawia się duma i podziw wobec pracy żony. Zakładam się ze wszechświatem o to, że jego następnymi słowami będą...

– Czego tylko chce Sarah – wypowiadamy jednym głosem.

Uśmiecha się do kufła swojego piwa z nutą poczucia winy i nieśmiałości, ale przede wszystkim zdecydowania. Sarah i Caleb poznali się w ósmej klasie. Od tamtej pory nosi jej książki, w sensie dosłownym i metaforycznym.

Kocham Caleba. Jest dla mnie jak brat. Szwagier, gdybyśmy Sarah i ja rzeczywiście były siostrami, jak zuchwale twierdziłyśmy (czytaj: kłamałyśmy) w szkole. Dzięki zrobionym

kilka lat temu testom DNA okazuje się, że łączy nas kuzynostwo czwartego stopnia. Kiedy tylko Sarah ma taką okazję, mówi teraz po prostu, że jesteście kuzynkami.

– Wiesz, jest tu mój kolega Robbie. Pomyślałem, że mógłbym was sobie przedstawić – mówi Caleb, popijając duży łyk piwa.

W życiu.

Od czasu tamtej randki z jego kolegą z pracy udaje mi się unikać facetów, z którymi Caleb chce mnie umówić. Winston płakał, opisując swoją – nadal żywą – matkę i łączącą ich „piękną więź”. Przyniósł mi także storczyka, co mogło być naprawdę uroczym gestem, ponieważ kocham rośliny doniczkowe. Niestety, ta akurat posadzona była w wielkiej ceramicznej misie z kamykami i korą i ważyła chyba z tonę. Nie mogłam postawić jej na podłodze, bo jeszcze kelner by się o nią potknął i zabił, dlatego musiała stać na stole między nami, blokując wzajemny widok. A po nudnej kolacji musiałam zabrać ją do domu. Przyciskając misę ze storczykiem do siebie na tylnej kanapie taksówki, napisałam miłą, acz stanowczą wiadomość dającą do zrozumienia, że powtórki nie będzie.

Jeśli już, to tamten wieczór umocnił tylko moją chęć pozostania przy aplikacjach randkowych, gdzie sama mogłam wybierać sobie mężczyzn.

– Może później – mówię do Caleba. – Teraz czekam, aby pogadać z naszą gospodynią.

Wskazałam brodą na przebraną za księżniczkę Buttercup Sarah, idealnie pasującą do Caleba-Westleya.

– W porządku. Ale ten jest inny, wiesz? Ma nawet mamę, która już nie żyje – dodaje Caleb, zdecydowanie zbyt podtekstowany.

– Och, a to dopiero bonus! Uwielbiam, kiedy ich mamy nie żyją. W święta znacznie to wszystko ułatwia.

Ze śmiechem odwraca się i nalewa do kubka poncz limonkowy.

– Proszę. – Podaje mi go, po czym zabiera mój zmumifikowany drink i wrzuca do kosza. – Jedz, ile tylko masz ochotę, Win.

Nachylam się w jego stronę.

– Możliwe, że to najseksowniejsze, co w życiu do mnie powiedziałeś, Caleb.

W tym momencie ktoś klepie mnie w tyłek.

– Znowu z tobą flirtuje? Boże, obojgu wam mówiłam to już tyle razy: jeśli zamierzacie mieć romans, przynajmniej zachowujcie się dyskretnie.

– Buttercup! Jak miło, że do nas dołączyłaś – mówię z szerokim uśmiechem.

– Świetny strój... znowu. – Sarah wzdycha i wskazuje na moje dopracowane do perfekcji przebranie piratki.

– O ile nie urośnie mi dłoni, nic się w tej kwestii nie zmieni.

Dźgam ją hakiem w pierś, Sarah zaś odsuwa go ze śmiechem.

– Musimy pokręcić się i pogadać z gośćmi, ale czy nie chciałabyś zostać dzisiaj na noc? Pościeliłam w gościnnym i...

– Tak, pomogę wam w sprzątaniu, jak co roku – wchodzę jej w słowo. – Idźcie! Zabawiajcie swoje tłumy.

Sarah wyrzuca z siebie ciąg słów dzięki-jesteś-najlepsza – po czym odciąga Caleba jak nadzwyczaj ochotczego szczeniaka na smyczy.

– Świetne kostiumy – bełkocze idąca w moją stronę wyjątkowo pijana kobieta przebrana za czerwoną kredkę.

Mijając mnie, niebieska kredka u jej boku dodaje:

– Pewnie wygracie konkurs dla par.

Konkurs dla par? Ja? Singielka Winnie? Błagam.

Musieli błędnie wziąć Caleba za pirata i mojego oblubieńca. Westley był przecież Straszny Piratem Robertsem, więc to założenie nie jest wcale od czapy. Ale mój styl piracki nawiązuje w znacznie większym stopniu do klasycznego wizerunku ładaczniczy. Specjalny biustonosz podnosi mi maksymalnie wysoko piersi, a kabaretki po latach noszenia zdążyły się podrzeć, co przez przypadek nadaje im idealny zdzirowaty wygląd. Moją talię ściska szeroki skóropodobny pasek, a sięgające ramion czarne włosy przewiązałam czerwoną bandaną. To nowy dodatek, który pojawił się po tym, jak podczas zeszłorocznych szaleństw zgubiłam piracki kapelusz. Niech odpoczywa w pokoju.

Będę wkładać ten kostium, dopóki nie stanie się to nudne. Serio. Ale także dlatego, że – bądźmy szczerzy – wyglądam w nim hot. Poza tym jestem zbyt splukana, żeby kupić coś nowego. Ale akurat to pominijmy milczeniem.

Istnieje jeszcze jeden poziom geniuszu Sarah. Najwcześniej jak się da, namierz najprzystojniejszego maniaka komputerowego w szkole, spraw, aby zakochał się w tobie do szaleństwa, a potem już tylko czekaj, aż stanie się obrzydliwie bogaty.

Obecnie Sarah jest pełnoetatową przyjaciółką od zabawy. Gospodyni przyjęć, organizatorka eventów, zagorzała czytelniczka, bezdzietna pani domu z gosposią. Aktualnie zastanawia się, jaki motyw przewodni wybrać na moją imprezę

z okazji trzydziestych urodzin, od których dzieli mnie jeszcze osiemnaście miesięcy.

– Przepraszam! – dobiega zza mnie niski, ironiczny głos.

Odwracam się. Och, oto i on. Ten drugi pirat, z którym zostałam nieświadomie sparowana. Tego gościa zdecydowanie bym się nie pozbyła. Moja pierwsza myśl? Jest wysoki. Naprawdę wysoki. Jakby jego ciało zostało rozwałkowane, a potem umieszczone w magicznym piekarniku dla złotych chłopaków. Włosy ma zmierzwione i z przedziałkiem pośrodku, w stylu chłopców z boysbandu z lat dziewięćdziesiątych, która to fryzura nagle znowu wróciła do łask. Są w odcieniu ciemnego blondu, co akurat mogę wybaczyć. Ma krzywy uśmiech, mówiący „uciekaj, zanim będzie za późno”, prosty nos i łagodne oczy. To zestawienie jest niezwykle urocze.

– Strasznie mi przykro – mówi nieszczerze – ale jedno z nas musi się przebrać.

– O mój Boże – mówię i wyglądam spódniczkę, po czym biorę się pod boki. – To takie krępujące... i nieprawdopodobne.

– No nie? No bo w takiej sytuacji żadne z nas nie wygra w konkursie na najlepsze solo, a ja – nachyliła się do mojego ucha, wciąż górując nade mną wzrostem – nie mam nic pod tym.

Powstrzymuję śmiech, nie chcąc, aby nasza wymiana zdań przedwcześnie się zakończyła. Tak rzadko miewam nowego partnera do dyskusji. A już na pewno nie tak atrakcyjnego.

– A to pech. Powinieneś lepiej to sobie zaplanować. Ja pod tym kostiumem mam kilka innych.

Kącik jego ust drży, ale to jedyna reakcja, jaką się ze mną dzieli. Wyzwanie przyjęte.

– Na przykład jakie? – pyta, krzyżując ręce na piersi.

– Strój wikinga.

– Teraz, kiedy o tym wspominasz, rzeczywiście widzę lekko wystający róg. – I wskazuje palcem na bok mojej głowy.

– To akurat standardowa cecha pomiotu szatana, ale rozumiem, że mogła cię wprowadzić w błąd.

– Niepokojące. Jaki jeszcze kostium?

– Oczywiście seksownej pokojówki – odpowiadam, trzepocząc rękami.

– Cóż, to akurat muszę zobaczyć – wyrzuca z siebie stanowczo zbyt szybko.

Uważam, że w tym właśnie momencie wygrywam pojedynkę na żarty, którego udajemy, że nie prowadzimy. Efekt szoku zawsze wygrywa.

– Obawiam się jednak, że muszę pozostać w tym pirackim przebraniu. Bo widzisz – puszczam wewnętrzny uchwyt haka i odsuwam go lewą ręką, prezentując znacznie mniejszą, niedorozwiniętą prawą dłoń – hak jest mi bardzo potrzebny.

Macham do niego drwiąco zbyt krótkimi, zakrzywionymi do wewnątrz palcami.

Wbrew moim oczekiwaniom szelmowsko się uśmiecha. W jego oczach dostrzegam wesołość. Gdyby tylko nie było to aż tak intrygujące, czułabym frustrację. Jego rozbawienie sugeruje, że być może jest o krok przede mną.

– Och, rozumiem. Cóż, w takim razie... może uda nam się osiągnąć swoisty kompromis.

I wystawia przed siebie nogę.

To chyba jakiś żart.